



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Nasza jesień.

DUMKA.



Nasza jesień — to pani bogata,
Jeszcze słońko ozłaca jej włosy.
Mgiewelouem pokryta jej szata
U jej szyi błyszczą krople rosy.

Nasza jesień to można królowa,
Na jedwabie nici tka pajęczę,
Jej korona z liści rubinowa
W barw złocistych polyskuje tęczę.

Nasza jesień — skrzętna gospodyni,
Zbiera zboża w brogi i stodoły,
Ma owoce w sadach, a do skrzyni
Sklada grosze, syci miód na stoły.

Nasza jesień święta Boża prządka,
Bo wysnuwa nić babiego lata,
Dla Maryi na płótno Dzieciątka
I do nieba srebrny warkocz splota.

Nasza jesień — to władczyni groźna,
Z gniazd wypędza ptaszki w inie kraje,
Z letnich szat obrywa dłoń jej mroźna
Wonne lasy i zielone gaje.

Jesień nasza — to smutna sierota,
Chodzi z wichrem po niwach i płacze,
Za nią cisza płynie i tęsknota,
Ze z pól zeszedli żeńce i oracze.

Maryja S.

List Janka Ż. do Redakcyi „Wieczorów.”

Johannesburg, Commissioner street Nr. 6 (Transwaal),

10 października 1899 r.

Szanowna Redakcyo!

Miałem przed kilku laty zaszczyt pisywać do Redakcyi „Wieczorów,” wtedy używałem pseudonimu: Struś. Redakcyja jednak wiedziała prawdziwe moje nazwisko, gdyż, nie chwając się, dostałem nawet kilka nagród za wypracowania konkursowe. Potem przestałem pisywać, bo moja kochana mama zachorowała i wyjechałem z rodzicami na południe do Włoch, a potem do Egiptu. Często zmienialiśmy miejsce pobytu, nareszcie mama umarła, (ale o tem nie mam odwagi wspominać) a tatko dostał posadę w banku w Aleksandryi. Nie chciał zaś tatko wracać do Europy, bo jest bardzo dobry i poświęcił się dla mnie. Ja jestem zupełnie do mamy podobny, nawet często kaszlę, lekarze

radzili tatce zostać w Aleksandryi, więc został kochany tatko i ja z nim.

Teraz wytłómaczę Szanownej Redakcyi, dlaczego ten list piszę. Otóż bank, o którym wspomniałem ma w całej Afryce swoje domy i agentów. Tatko podobno bardzo dobrze bankowi służył, wysyłali go też do różnych krajów i miast. Byliśmy w Zanzibarze, a teraz mieszkamy w Johannesburgu, w kraju Transwaalskim. Dawno już chciałem napisać o tem do „Wieczorów” i zapytać Szanowną Redakcyę, czy mógłbym stąd wysłać listy i odbierać numery pisma, ale jakoś nie miałem odwagi, po tylu latach milczenia, zgłaszać się znowu. Kiedy się tu jednak zaniosło na wojnę, postanowiłem nie zwlekać dłużej. Kto wie! może my obaj z tatką zginiemy, może Anglicy spalą Johannesburg i nasze papiery, a tak przepadnie wiadomość o nas. Ja zawsze wdzięczny jestem „Wieczorom,” bo tyle z nich pożytecznych nauczyłem się rzeczy. Tu uczy mnie tatko, najwięcej piszę wypracowań. Za radą tatki opisałem, co wiem o Transwaalu i jego mieszkańcach. Opis ten posyłam, może Szanowna Redakcyja pozwoli go wydrukować! Pamiętam z jaką ciekawością czytywałem listy Jaguara, Orła i Rolnika. Ja ich prawie kochałem. Może pisują i teraz, więc przeczytają o Strusiu. Do nich się też zwracam.

Jadąc do Transwalu, znałem już Afrykę, wiedziałem, że można w tej części świata żyć wygodnie, ale jednak zdziwiłem się bardzo zobaczywszy Johannesburg. Jest to bowiem miasto, mające około stu tysięcy mieszkańców, oświetlone elektrycznością, posiada 13 kościołów, 3 teatry, ogród zoologiczny, czytelnie, ciekawe muzeum i, co mnie bardzo ucieszyło, kilka placów do gry w lawn tenisa.

Pretoryja jest właściwą stolicą kraju, ale tatko postarał się o miejsce w Johannesburgu, bo choć cały kraj słynie ze zdrowego klimatu, Johannesburg, położony na górze, uchodzi za najzdrowszą miejscowość. Tutejsi doktorzy utrzymują, że wielu Europejczyków chorych na płuca wyleczyło się powietrzem Transwaalu. Tatko się z tego bardzo cieszy.

Nie myślcie jednak, aby tu było zawsze gorąco, o wcale nie! W listopadzie zaczynają się wprawdzie upały i w lutym bywają nieznośne, ale za to od marca wieje chłodny wiatr południowy, a w czerwcu miewamy czasem nawet śnieg. Prawda, jak to zabawnie pomyśleć, że wtedy, kiedy wy w Warszawie chodzicie na ślizgawkę, my prażemy się od gorąca, a chłody zimowe sprowadza nam wiatr południowy, bo wieje od bieguna.

Ale wracam do naszego przyjazdu. Zachwycony pięknem miastem, mającym zupełnie europejski pozór, zapomniałem, że jestem na południu Afryki. Piliśmy kawę u znajomego tatce Transwaalczyka, p. Burnsa, który mieszkał w ładnym parterowym domu z ogrodem; (tutejsi mieszkańcy niezmiernie lubią kawę, od niej też tyją, zwłaszcza zaś kobiety), pijemy więc kawę, aż tu z ogrodu wysuwa się wąż jadowity i pełźnie prosto ku nam. Gospodarz domu zabił laską niebezpiecznego gościa, ja zaś odrazu wtedy zrozumiałem, że nie jesteśmy w Europie.

Pan Burns opowiedział nam tego wieczora swoją historję, która jest zarazem historją wszystkich Boerów, (wymawia się Burów), bo tak nazywają się właściwi mieszkańcy Transwaalu. Spróbuję powtórzyć wam jego słowa. Prze-

dewszystkiem jednak przypomnijmy sobie mapę Afryki. *) Otóż muszę się wam przyznać, kochani koledzy, że ile razy na nią patrzę, przychodzą mi zawsze na myśl sery, które na wsi u cioci robiła stara Michałowa. Odgryzałem sam rózek sera, o co się gniewała szafarka i skarżyła przed cicią. Ten rózek w serku, (bo przynajmniej sami, że z kształtu jest Afryka bardzo do sera podobna), to południowy jej krańec, zwany jak wiecie, Przylądkiem Dobrej Nadziei. O tem każdy z was uczył się z geografii, uczyłem się i ja, tylko nie wiedziałem, że na rózku serka mieszkać będę.

Zasmakował ten rózek afrykańskiego serka wychodząc z Europy i od początku XVII wieku zaczęli się tu osiedlać Holendrzy, Hugonoci francuscy, a potem Anglicy.

Osadnicy ci, choć pochodzili z różnych krajów i należeli do różnych narodowości, żyli jednak w zgodzie, trudniąc się najprzód polowaniem, a potem hodowlą bydła i uprawą roli. Od wyrazu holenderskiego buhrs, co znaczy chłop, przyjęli nazwę Boerów, holenderski też język i religia protestancka utrzymała się na półwyspie, który nazwano Kaplandią. Ale Anglia pozazdrościła Boerom ich bogatego kraju. Osadnicy bili się dzielnie, broniąc swej niepodległości, zostali jednak pokonani i w roku 1815 kongres Wiedeński przyznał Anglii panowanie w południowej Afryce. Boerowie, szczęśliwi dotąd, nie mogli się pogodzić z najeźdnikami. Chcieli bądź co bądź ratować swą niezależność. Postanowili szukać nowej ojczyzny, byle żyć pod własnym rządem. Opuścili więc Kaplandyę i wyruszywszy na północ, osiedli w kraju zwanym Natal, nad brzegami Oceanu Indyjskiego.

— Tu będziemy bezpieczni — powiedzieli sobie zuchy i dalej pracować nad założeniem nowych osad. Zaledwie jednak doprowadzili je do kwitnącego stanu, gubernator angielski w Kaptownie, stolicy Kaplandyi, oświadcza im, że jako poddani angielscy, nie mają prawa tworzyć niepodległego państwa, Anglia bierze zatem Natal w swoje posiadanie.

Boerowie bronili nowego kraju, gdy jednak obronić się nie mogli, wyruszyli na północo-zachód, pod wodzą dzielnego Pretoriusa i tam pomiędzy rzekami Oranie i Waal założyli rzeczpospolitą Orańską, z głównem miastem Bloemfontein.

Czy sądzicie, że teraz przynajmniej zostawiono Boerów w spokoju? Wcale nie. Sześć lat tylko cieszyli się niepodległością, Anglia zabrała Oranią, jak wprzód Kaplandyę i Natal.

Boerowie jednak jeszcze nie stracili odwagi. Około 1850 r. część ich wyruszyła dalej na północ szukać nowej ojczyzny, że zaś przy tej wędrówce przeszli rzekę Waal, nazwali więc zajęte posiadłości Transwaalem, t. j. krajem położonym za Waalem. Tu na żyznej, przeciętej górami dolinie zamieszkali odtąd Boerowie. Musieli walczyć z wielu trudnościami, gdyż kraj był dziki. W rzece Limpopo, stanowiącej północną granicę Transwaalu, dziś jeszcze gospodarują krokodyle, a mogę wam zaręczyć, kochani przyjaciele, że nie łatwy to do wytępienia ptaszek. Przed kilkudziesięciu laty, kiedy Boerowie osiadali za Waalem, prócz krokodyli walczyć trzeba było z lwem, sło-

*) Mapkę Afryki połud. podajemy na str. 365.

niem i bawołem, a i dziś jeszcze w niedostępnych górach Drakenbergskich żyją tygrysy, szakale, lamparty i rysie.

Niebezpieczniejszemi jednak od tych napastników były dla Boerów dzikie plemiona Zulusów, Beczuanów, lub Bapedów i powiem wam prawdę, że chociaż nasz gospodarz pan Burns przyznać tego nie chce, tatko i ja mamy wielkie współczucie dla tych biednych tubylców. Ustępować oni musieli przed surowością Boerów, tak, jak Boerowie ustępowali przed Anglikami.

A że nie lubili białych, to łatwo zrozumieć, bo ci biali zabierali im ich ziemię. Walczono więc z Transwaalem, lala się krew białych i czarnych, chociaż przecie i biali i czarni są zarówno dziećmi jednego Boga.

Z tych wewnętrznych zamieszek skorzystali znów Anglicy i w 1877 r. zajęli Transwaal!

(d. n.)

WZAJEMNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ

p. Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

Opowiadanie to tak zajęło dzieci, iż kiedy od dworu doleciał głos dzwonu, południe oznajmujący, zdziwiły się bardzo; Cesia kazała im iść na obiad, potem dokończyć roboty i wieczorem przyjść po zapłatę, po wstążki i obrazki.

Panna Domicela i pani Szarska czekały na dziewczynkę z obiadem, gdy Cesia weszła do jadalni, panna Domicela, rzekła do niej.

— Jest list do ciebie z Wątówki, wczoraj powrócili do domu, możesz przeczytać.

Cesia szybko przebiegła pismo oczyma.

— Renia prosi, żebym przyjechała dziś do Wątówki — rzekła — poczem głośno list przeczytała.

„Droga Cesuniu! przyjechaliśmy wczoraj o dziesiątej do domu, jestem bardzo, bardzo zmęczona, a chciałabym zobaczyć cię koniecznie, uściskać, pogadać o wielu, wielu rzeczach z tobą. Przyjdź do nas najdroższa, nie czekając na nasze odwiedziny...

— Czy pojedziesz? spytała panna Domicela.

— Po skończonych zajęciach z chęcią bym pojechała, jeśli babunia pozwoli mi kazać założyć do bryczki — odparła dziewczynka, lekko się zarumieniwszy.

— Wiesz wszakże, iż kabriolet i bułanki są zawsze do twojego rozporządzenia — odparła pani Szarska.

Zaraz po obiedzie Cesia pośpieszyła do sadu, gdzie miała szczepić śliwki; panna Domicela towarzyszyła jej, a nawet pomagała w zajęciu. Zdawać się mogło, że obie zapomniały całkiem o Wątówce, gdyż ani jednym słowem nie wspomniały o niej. Wracając z ogrodu rozmawiały z zajęciem o tem, co jutro trzeba będzie zrobić w ogrodzie, w tem obie umilkły jednocześnie; doleciał je tętent konia, przystanął przeto i zwrócił spojrzenia w stronę, z której hałas dochodził. Za parkanem sadu, drogą ode wsi, pędził ktoś konno, jakiś chłopak bosy, w koszuli krajką prze-

pasanej, bez czapki, z włosom rozwianym, istotny zwiastun nieszczęścia.

Cesi serce zabiło mocniej, podbiegła do furtki i wyszła na drogę. Wuj stanął jej na myśli.

— Skąd jedziesz? — spytała.

Chłopiec konia przy niej osadził.

— W Polance pożar; kazano mi po dworach dać znać — odparł i popędził dalej.

Polanka była to wieś leżąca pomiędzy Wątówką i Lisicami, wieś zamożna, jak świadczyły o tem porządne jej chaty i zdrowo wyglądająca dziatwa.

Cesia знаła wielu gospodarzy z Polanki i lubiła ich odwiedzać; lubiła patrzeć, jak przy skrętnej swej pracy rosną w zamożność.

Obeszła Cesię wiadomość otrzymana, powróciła natychmiast do babki i powtórzyła ją, nie wątpiąc, że babcia pośle pomoc zagrożonym nieszczęściem i niezawiodła się.

— Biegnij do rządcy i powiedz mu, żeby natychmiast pojechał z ludźmi na miejsce; niechaj weźmą większą sikawkę, dwie becзки, topory i haki — rzekła głosem wzruszonym panna Domicela.

Cesia pośpieszyła na podwórze z rozkazem.

Niebawem dążyła z Lisic pomoc do Polanki. Razem z rządcą w kabryolecie pojechała też i Cesia z naładowanym woreczkiem. Żegnając babkę powiedziała, iż z Polanki zajędzie pewnie na chwilę do Wątówki.

Polanka leżała w głębokim jarze, więc jadący nie widzieli pożaru, tylko swąd, lecący z tamtej strony, potwierdzał słowa posłańca.

— Dym już widać — odezwał się naraz rządcą, siedzący obok Cesi, to mówiąc wskazał na prawo.

Wistocie naprzeciw nich ukazały się ciemne słupy, które pięły się coraz wyżej ku obłokom, a zdawały się wydobywać aż z pod ziemi; w górze były tylko ponure, u dołu kędy barwa ich szara czerwonawy przybierała odcień świeciły groźnie, jakby mówiły ludziom: „my niesiemy zniszczenie.”

— Czy nie możnaby skrócić drogi i woprzek pojechać? — zapytała Cesia.

Rządcą kazał woźnicy wjechać na ugór. Niebawem dym począł krztusić Cesię, dochodził ją też dziwny szum, a czasami i trzask jakiś: to płomienie tak syczały, a iskry trzaskały, lecz ognia nie widziała jeszcze Cesia

Nareszcie woźnica zatrzymał konia; stanęli nad parowem; gęste krzewy rosły brzegami i zasłaniały to, co się niżej działo.

Cesia wyskoczyła z kabrioletu i zbliżyła się do owych krzewów.

— Jakże to straszliwe — szepnęła, cofnąwszy się mimowoli.

Parów zdawał się być jednym, wielkim ogniskiem; prócz płomieni, nic nie widziała więcej. Powoli jednakże oswoiła się z tym strasznym widokiem, odróżniać zaczęła przedmioty jedne od drugich. Spostrzegła, że kilka chat, stojących po lewej stronie, nie było jeszcze objętych ogniem, że kilka zaledwie było zamienionych w ogniste pochodnie, inne zajmowały się dopiero. Przy tych pracowało kilkunastu ludzi z zapalem, zalewając niszczący żywioł wodą, jaką kublami z pobliskiej studni nosili.

Niebawem nadciągnęła pomoc z Lisic.

Prąd wody, rzucony przez sikawkę, trysnął z szumem

i spadł na dachy, zajętych świeżo chat; zasyczały rozgniewane płomienie, rzuciły ludziom w oczy kłęby dymu, lecz odważni parobcy z Lisic nie cofnęli się, walczyli uporczywie z rozhukanym żywiołem.

Tymczasem Cesia poczęła się spuszczać ze wzgórza, kierując się w stronę, gdzie ogień jeszcze domów nie dosięgnął, a z kąd dolatywały ją jęki i szlochania żałosne. Tragiczne sceny działy się tam na czarnem tle dymu. Jakaś młoda kobieta z włosom rozwianym, w jaskrawej chustce na plecach, oplótłszy jedno ramię w około szyi młodego kmiecia, ukryła twarz na jego ramieniu i płakała głośno. Nieboga nie mogła patrzeć na zniszczoną chatę, toć niedawno się pobrali i byli tacy szczęśliwi; on własnymi siłami zbudował tę chatę, ona pracą własną i oszczędnością wystroiła wewnątrz swe gniazdko i w jednej godzinie spłonęło wszystko.

Jeszcze dalej widać było grupę ludzi, którzy otoczyli

kogoś. Cesia pewną nie była, lecz zdawało jej się, że grupę tę nie sami chłopi składają, że widzi wśród jaskrawych chust kobiet białe kapelusze, przystrojone kwiatami. Nie poszła wszakże sprawdzić swego przypuszczenia, lecz zwróciła się do płaczących niedaleko dzieci, poczęła je pieścić i uspakajać, że matka niedługo powróci.

Malcy otarli kułakami łzy, a gdy panienka ze dwóra, dobyła z torebki, jaką miała przy sobie, dwie bułki i każdemu jedną dała, dodawszy do tego po kawałku mięsa, uśmiechnęli się do niej i siadłszy pod drzewem spokojnie się posilali, a jednocześnie przypatrywali się, lecz obojętniej pożarowi; wskazywali sobie palcami gaszących, gdy zaś poznali którego wołali: „patrz to Józik, a tam tatulo z kubłem do studni biegnie, to ci pędzi, jescce nogi połamię.

Uspokoiwszy dzieci, Cesia przysunęła się do siwej kobiety, która w niej podziw budziła swoim spokojnem zachowaniem się.



Prezydent Transwaalu Paweł Krüger z małżonką.



Mapa Transwaalu, Oranje i przyległych posiadłości angielskich.

— Czy to wasza chata, matko? — zapytała.

Kobieta złożyła jej ukłon ręką, westchnęła ciężko.

— Mego syna — odpowiedziała.

Teraz dopiero Iza zawisła na siwych jej rzęsach, lecz otarła ją szybko.

— Nie płaczcie matko, panie z Lisic pomogą wam odbudować spalony dom — odezwała się tonem współczucia Cesia. Panna Domicela kazała mi zapytać o nazwiska poszkodowanych.

W smutnych oczach staruszki zaświeciła radość.

— Czy nie mówiłam, że Bóg miłosierny uczciwych nie opuści — rzekła, zwracając się do syna — z Lisic pomoc nam przyjdzie.

Wieśniak objął Cesię za kolana i czapkę do ziemi pochylił.

— Nie dziękuj, aż spełnię przyrzeczenie — rzekła Cesia i szła dalej, jak anioł pocieszyciel, od gromadki do gromadki, wszędzie rzucając nadzieję w serca przejęte rozpaczą, aż doszła w końcu do grupy, którą, zdawało jej się, że nie sami włościanie składają. Ci rozstąpili się przed nią z szacunkiem, ona ujrzała leżącą na ziemi dziewczynkę kilkoletnią, a przy niej dwie panie kłęczące, jedna podawała szarpie i bandaże, druga pochyłona nad dzieckiem opatrywała jego rany; dziewczynka była strasznie poparzoną, bo wynieśli ją z płonącego budynku.

(d. c. n.)

NIEZWYKŁY RACHMISTRZ.

W ubiegłym miesiącu bawił w Warszawie młody człowiek, p. Perikles Diamanti, z pochodzenia Grek, obdarzony niezwykłą pamięcią do cyfr i rachunków arytmetycznych. Ponieważ miałem sposobność widzieć próby jego nadzwyczajnej pamięci, opiszę je czytelnikom „Wieczorów,” pewny będąc, że ich także zaciekawią.

Zebrało się nas dość liczne grono osób, między innymi kilku matematyków. Pan Diamanti stanął przed zwykłą czarną tablicą szkolną i ujął w rękę kawałek kredy.

— Proszę mi podyktować kilkanaście cyfr pojedynczych — rzekł po francusku.

Jeden z nas zaczął dyktować, a p. Diamanti napisał w rogu tablicy kilka szeregów cyfr.

Potem odwrócił się i w jednej chwili, naturalnie nie widząc tablicy, zaczął recytować po porządku owe szeregi cyfr, najprzód w kierunku poziomym, potem w pionowym, potem ukośnie, wreszcie wyliczył je wszystkie spiralnie bez żadnej omyłki.

Następnie prosił, aby mu wskazać jakiś rok, a on obliczył w pamięci ile godzin, minut i sekund upłynęło od urodzenia Chrystusa Pana do końca owego roku z uwzględnieniem lat przestępnych.

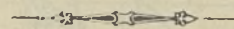
Zadaliśmy rok 1232. W mgnieniu oka napisał pod tem ilość godzin, po chwili ilość minut i sekund i wypisał olbrzymie, milionowe szeregi. Dalej w pamięci obliczył, ile w ciągu tych 1232 lat było lat przestępnych, to jest mających po 366 dni i dodał w pamięci także brakujące do ogólnej sumy sekundy.

Wszystkie te działania sprawdziliśmy na tablicy w ciągu przynajmniej 10 minut, nie ścierając liczb.

Trzecia próba polegała na podniesieniu zadanej liczby do drugiej potęgi. Liczbę 476 pomnożył na 476 w pamięci w ćwierć minuty. Sprawdziliśmy to działanie na tablicy, która w ten sposób pokryta została kilkunastu szeregami cyfr i liczb rozmaitych.

Pan Diamanti odwrócił się od tablicy i kolejno wyrecytował bez omyłki wszystkie cyfry i liczby, znajdujące się na tablicy. Naturalnie, byliśmy zdumieni i zachwyceni. P. Diamanti objaśnia, że posiada pamięć wzrokową, t. j. że każda widziana przez niego cyfra utrwała się na jakiś czas w jego mózgu i że wprost widzi całą tablicę z cyframi. Zauważywszy w sobie ten dar szczególny, zaczął się wprawiać w rachowanie na pamięć i, jak widzimy, doprowadził tę uniejętność do prawdziwej doskonałości.

Na zakończenie pokazał nam jeszcze taką próbę. Mówi mu się rok (np. 1876), miesiąc (np. lipiec) i datę (27-y), a on natychmiast powiada w jaki dzień tygodnia wypadła ta data (czwartek) i t. d.



Jan Niewdzyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg)

Lecz słońce rudawo-czerwonem światłem tak padało na leżącego, że kapitan ani falującej westchnieniem piersi, ani rumieńca nie dojrzał.

— Naprawdę głuchy, a jak głuchy, to i nie mówił! miałbym też kogo odsyłać jego miłości wielkiemu sułtanowi! — dodał dla uspokojenia swego drażliwego sumienia.

I skinąwszy na żołnierza będącego w jego usługach, zawołał:

— Mój jeniec, włóż go na wóz z *moją* zdobyczą. — Dać mu jeść i pić! — dodał, jako pan dobry, dbający o swój roboczy inwentarz.

Myślał zaś sobie.

— Wydatek się wróci, gdyby osłabł, nie byłby zdolny do pracy.

Ze zaś oboz po pokoju Buczackim nie miał już co robić pod Lwowem wśród zrabowanej okolicy, nakazano więc ruszać dalej ku Chocimowi, gdzie na wypadek niezapłacenia przyobiecanej daniny, Mahomet IV postanowił wszystkie swe siły skierować.

I w kilka dni po wrzuceniu na wóz związanego jeńca, ruszył cały tabor we wskazanym kierunku. Nie spieszono się jednak.

Turek, gdy potrzeba, wyteży wszelkie siły, jeżeli zaś niema nic naglącego, oddaje się z przyjemnością próżniactwu, a wśród próżniactwa ulubionej kontemplacji.

I teraz w dzień rozkładano obozy, gotowano jadło i ciesząco się ostatnimi promieniami słońca, dziwnie ciepłej jesieni. Czasem odpoczywano w chacie, rabując co się dało dla zabawki.

W nocy dla rozgrzania się wyruszano w pochód i znów dla rozrywki rabowano.

Wśród takiej zabawy upłynął cały miesiąc, wozy dowódców napełniały się zdobyczą, a wóz kapitana tak był już pełen, że po drodze musiano zabrać drugi. I na tym już pod wierzch sterczały napchane wory, nie licząc jeńca, który leżał skrepowany, nie dając znaku, że rozumie cośkolwiek z tego, co się koło niego dzieje. Często też przy-

wiązany za wozem włókł się, rzucając z pod oka złowrogie spojrzenia i patrząc pilnie na wszystko.

Tak dowlókł się wraz z obozem do Krzywej.

Wieś była zasobna. mieszkańcy zaskoczeni nagle nie zdolali ani sami uciec, ani ukryć swego dobytku, mieli więc Turcy czem się zabawić i prawie dwa dni na miejscu pozostali.

Kapitan z kilku żołnierzami oddalił się na połów, przy wozach stał jeden tylko ciura, który ujrzawszy, że nikt nań nie patrzy, wysunął się także, mówiąc:

— Biorą inni, może i ja co złowię! starszyna daleko!

I poczęstowawszy potężnym kułakiem przywiązanego do woza jeńca, oddalił się, upatrując, coby złowić dla siebie. Wozy stały przed opuszczoną chatą. Porozwalane ściany, połamane sprząty, komin zburzony, świadczyły, że ci, co przechodzili pierwsi, do szczętu chatę zrabowali, a mieszkańców uprowadzili z sobą.

Nikt się więc nie kwapił na nowe w chacie poszukiwania.

Konie wyprzęgnięte i spętane żuły z kobiałki posiłek, wiatr świszczął gdzieś zdala po wydmach, a słońce, przypatrując się sennem okiem, ozłacało grudniowemi promieniami ten smutny obraz. Jeniec kilkakrotnie obejrzał się. Widząc się sam jeden, westchnął głęboko i usta jego poruszyły się, nie wydając jednak głosu. Szeptaly modlitwę, czy skargę! Mimo wycieńczenia i niedoli, mógł zwrócić uwagę swą rosłą postacią i żyłastemi, oznaczającemi niepospolitą siłę dłońmi.

Po niejakijs chwili zjawił się żołnierz, który go schwycił i przyprowadził, obejrzał się wkoło przenikliwym wzrokiem, sięgnął po jakiś przedmiot z wozu i ukrył w obszer-nych swych, brudnych szarawarach. I znów obejrzał się dokoła, a odcinawszy sznur przywiązujący jeńca do wozu, rozkuł łańcuch na jego rękach i nogach i ochryplym głosem zawołał:

— Uciekaj!

Lecz jeniec stał, nie ruszając się z miejsca i jak zwykle obojętnym wzrokiem spoglądał dokoła.

— Pse niewierny, nie rozumiesz! — syknął przez zęby.

I nagle, jakby chciał się zemścić nad nieszczęśliwym, uderzył go w kark, pochwyił za ręce, wepchnął do rozwalonej chaty i popychając coraz gwałtowniej między rozwalony komin, wepchnął w jamę, będącą pod nim i zawałił gruzem.

Potem wyszedłszy zatarł ślady nóg swoich i oddalił się spiesznie, mówiąc do siebie:

— Ni mnie, ni tobie!... a może i mnie?... — dodał po chwili. — Jeżeli pies niewierny się nie zadusi, wywołkę go stamtąd...

Gdy przyszedł woźnica i ujrzał, iż jeniec zniknął, uciekł, nie czekając przybycia żołnierzy i kapitana.

Ten, rozgniewany tak znaczną stratą, piecił się ze złości i o mało nie uśmiercił jednego ze swych podwładnych. Rozkazał zaraz pościszyć zaginionym.

Gdy jednak sam otrzymał rozkaz ruszenia dalej, jęcząc nad swą złą dolą i biedą, włożył na wóz świeżo przymiesione łupy i ruszył w drogę.

XVI.

Jakim cudem nieszczęśliwy jeniec nie udusił się pod gruzami i zdobył siłę na wydostanie się ze swego grobu, sam sobie nawet nie umiał z tego zdać sprawy.

Czy omdlał, czy przespał czas jakiś, również nie wiedział.

Gdy jednak po wielu trudach, ujrzał przedostające się światło, westchnął głęboko i zawołał spieczonemi ustami:

— O matko moja, tyś uprosiła u Boga nad swoim synem opiekę.

I czyniąc nadludzkie wysiłki, wydostał się z pod gruzów, a blask wschodzącego słońca, dostającego się przez

rozwaloną na poły ścianę do opustoszałej chaty, dodał mu nieco otuchy.

Rozejrzał się; cisza poranna rozlewała niewysłowny urok, żaden głos nie dochodził, zda się ludzie i zwierzęta wymarli.

— Wolny jestem! wymówił słabym głosem. I niezwykła radość napełniła jego serce.

Pokurczone i zbolale członki dokuczały mu w niewypowiedziany sposób, cierpiał za każdym poruszeniem lecz wydobywając resztki sił, wyszedł zataczając się przed chatę.

Chłód jesienny, przedostając się przez podartą odzież, przejął go do szpiku kości, głód szarpał mu wnętrzności, błogość jednak z odzyskanej swobody napełniła jego duszę.

— Byleby tylko ująć pogoni!

Nie zastanawiał się nad wypadkami ubiegłemi, myślał tylko, jakby się dostać do jakiej chaty, gdzieby go żywiono.

Lecz wieś, ciągnąca się wzdłuż drogi, była zupełnie opustoszałą i cisza, nieprzerwana nawet szczekaniem psa, obejmowała go dokoła.

— Musi zawlekli mnie gdzieś ku południowi, jeżeli w grudniu a śniegu nigdzie... — mówił sam do siebie, chcąc sobie wynagrodzić długie dni milczenia, podczas których udawał głuchoniemego.

— Tak, tak, to już grudzień, przecieżem dobrze sobie dni rachował — mówił dalej. — Tak, grudzień nie grudzień, trzeba się przecie gdzieś dostać. Naszać to chyba ziemia, bo Turcy zniszczyli ją do szczętu!

I włókł się tą samą drogą, którą przybył a na którą zwracał pilnie uwagę, jak i na wszystkie czynności Turków, a nawet na ich mowę, którą już nieco rozumiał.

Wszedł do jakiejś opustoszałej chaty i po długim poszukiwaniu znalazł w niej kilka jaj nadłuczonych.

Zabrał je i spożył, nie zważając, że niektóre były na poły z ziemią zmieszane.

— Niech się dzieje co chce, pójdę na oślep!

I utykając, drżąc z zimna, powłókł się tą samą drogą, którą go Turcy przywlekli. Mimo swej niedoli rozpatrywał się milcząc po okolicy i teraz, gdy wracał, doskonale każdy prawie krzak pamiętał, chociaż ziemię lekki śnieg począł przypuszać.

— Według mego rachunku, blisko już bodaj godów, a tu chociaż zimno, zawsze łżejsze, niż zwykle o tej porze — myślał sobie, drżąc na całym ciele z przejmującego chłodu i wycieńczenia.

Zbierał się jednak jak mógł, otulając poszarpanemi łachmanami na również poszarpanej skórze, obwisłej na jego rozrosłych kościach.

— Tu zwlekli mnie z wozu, a tu zdzielił mnie powrozem przez plecy — mówił sobie, przywołując na pamięć smutne wspomnienia.

Ależ zniszczyli te psubraty, zniszczyli, niczemu nie darowali — mówił sam do siebie.

I rozglądał się po okolicy, która przedstawiała smutny obraz przejścia Turków i Tatarów.

Rozwalone chaty, ścięte na poły drzewa z rozkrzyżowanemi gałęziami, walające się wśród zaschłej krwi i błota, wołały swą nicością i nędzą o pomstę do Nieba.

Trupy ludzi odartych z odzienia, z wykrzywioną bólem twarzą i ranami na ciele, świadczącemi o zadawanych męczarniach, zwierzęta padłe z głodu lub zabite ręką nie przebaczającą niczemu, przedstawiały obraz tak ohydny i wstrętny, taką boleścią napełniający serce biednego wędrowca, iż co chwila wstrząsał się bólem i łzy napływały mu do oczu.

— Boże, Boże, czemuż odwrócił od nas oblicze! — wołał wyciągając chude ręce ku niebu.

To znów zaciskając kurczowo dłonie mówił z rozpaczą:

ROZBÓJNIK MORSKI.

Opracowała P. Gr.

(Dalszy ciąg).

Po upływie owej stanowczej pół godziny, mimo nieustannej pracy majtków przy pompach, woda dochodziła już siedmiu stóp, sześć cali! Ludzie spoglądali po sobie z rozpaczą, a po chwili zaczęli zlorzeczyc. Kapitan stał milcząco, z zaśnieżonymi ustami,

— Już po nas! — zawołał jeden z majtków.

— Niekoniecznie, mój przyjacielu — dowodził Oswald — być może, że tylko bok okrętu uszkodzony. Obróćmy go z wiatrem i zdołamy jeszcze statek uratować.

— Prawdziwy żołnierz póki ma choćby jeden nabój w ładownicy, nie mówi nigdy o poddaniu się — dorzucił Ingram.

Słowa te czynem popierając, kapitan zrzucił surdut i zarówno z drugimi majtkami pracował przy pompie, podczas gdy Oswald ujął za ster.

Mimo tych usilnych starań, woda po godzinie dochodziła ośmiu stóp; ludzie zniechęceni porzucili pompy.

— Tak Oswaldzie — rzekł kapitan do sternika — los nasz zdaje się już rozstrzygnięty.

— Los okrętu — poprawił Oswald — istotnie, bo pompowanie na nic się nie zda. Ale ludzi uratujemy. Trzeba przesiąść się na łódzie i statek opuścić jaknajprędzej.

— Niepewne to schronienie na wzburzonym morzu.

— Musimy jednak odważyć się na to, bo niema innego ratunku.

— Czy mam wydać rozkaz?

— Dobrze, Oswaldzie — odparł Ingram — Bóg świadkiem, nie o mnie mi chodzi, ale moja żona! moje dzieci!

— Chłopcy — odezwał się Oswald do załogi, oczekującej w grobowym milczeniu wyniku rozmowy przełożonych — dalsze pompowanie wody na nic; musimy szukać schronienia na łodziach, bo dobra łódź więcej warta od złego okrętu. Ponieważ morze w obecnej chwili zbyt jeszcze wzburzone, wypada nam więc pozostać o ile można najdłużej na statku, a tymczasem zaopatrzyć łódzie w żywność i wodę. Reszty dokona łaska Boga i własna nasza energia.

— Żadna łódź nie oprze się w taki czas sile bałwanów — odezwał się jeden z majtków. — Mojem zdaniem, lepiej krótkie chwile życia pozostawione nam na tym świecie spędzić wesoło, bez troski. Co wy na to powiecie? — rzekł, zwracając się do towarzyszy.

Kilka z nich poparło oświadczenie kolegi, ale Oswald, ująwszy w rękę topór, zbliżył się do wygłaszającego owe żądanie majtki i patrząc mu prosto w oczy, zawołał:

— Wilhelmie, chwile naszego życia porachowane już może, nie będą one jednak wesołe w takim znaczeniu, jak ty to rozumiesz. Straszna byłaby ostateczność zmuszająca

mnie do zmazania rąk moich krwią twoją lub którego z twoich towarzyszy, ale jak Bóg w niebie, rozplątam głowę pierwszemu, który się poważy przestąpić próg składu z wodką. Sami wstydzić się powinniście takiej myśli. Czy zasługuje na miano człowieka ten, który w chwili niebezpieczeństwa zamiast odważnie szukać środków ratunku, szuka w pijaństwie odurzenia.

Większa część załogi przyznała słuszność słowom sternika i zaczęło szykować łódzie.

Po dwóch godzinach wszystko już było gotowe; burza trochę przycichła, a żeglarze tem samem nabrali otuchy. W łodziach pomieścić się mogła załoga i podróżni; pocziwi majtkowie troskali się o to, jak małe niemowlęta zniosą na otwartem powietrzu podróż, mogącą trwać długie dni i noce. Tem większą trwogę doznawało serce biednej matki.

O godzinie 6-ej pokończono wszystkie przygotowania; wielki czas był po temu; okręt zalewała już woda i należało oczekiwać lada chwila zatonięcia. Spuszczono łódzie; na jednej objął komendę Oswald, druga większa pozostawała pod rozkazami kapitana, a w niej miała znaleźć pomieszczenie lady Templemore wraz z dziećmi.

Oswald pierwszy ze swymi ludźmi odplynął. Kapitan Ingram wsadziwszy lady Templemore i jednego chłopczyka z mamką do łodzi, wyciągał właśnie ręce do Judyty, podtrzymywanej przez Murzyna, dla odebrania drugiego dziecka, gdy raptownie okręt zanurzył się w wodzie.

— Tonie już, tonie! — wołali majtkowie, i unikając zwykłego w takim razie wiru, który łódź łatwo mógł zalać, szybkim ruchem odbili od statku.

— Moje dziecko! — wołała przerażona matka — moje dziecko!

— Zawróć! — rozkazał stanowczym głosem kapitan i chwycił sam za rudel.

Majtkowie, widząc wystającą jeszcze nad wodę część okrętu, poznali błąd popełniony i pożałowali pospiechu swego, wobec jednak przeciwnego wiatru i prądu wszystkie usiłowania, aby łódź zbliżyć do statku, były daremne.

— Moje dziecko! moje dziecko! — wołała w rozpacz nieszczęśliwa kobieta, wyciągając ręce ku pozostałym na pokładzie rozbitkom, ale fala unosiła łódź coraz dalej, aż wreszcie kapitan, widząc bezskuteczność czynionych wysiłków, kazał ją puścić z pędem wody, a biedna matka padła bez zmysłów u nóg jego.

(d. c. n.)

Ś. p. Ludomir Szczerbowicz-Wieczór.

W zeszłym tygodniu zmarł w Warszawie zasłużony pedagog i autor Ludomir Szczerbowicz-Wieczór, urodzony w r. 1842 w pow. Słuckim gubernii mińskiej. Był znakomitym znawcą języka polskiego oraz historii starożytnej. W roku zeszłym zamieścił w „Wieczorach” obrazek z dziejów starożytnej Messenii p. t. „Alkaios w Motonie” i kilka artykułów o poprawnem mówieniu.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odniesieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 50 (3 korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Nasza jesień, wiersz (z ryc.) — List Janka Ż. do Redakcyi „Wieczorów” (z ryc.) — Wzajemna pomyłka, powieść przez Teresę Jadwigę — Niezwykły rachmistrz. — Jan Niewdźyd, powieść z dawnych czasów przez Zuzannę Morawską (c. d.) — Rozbójnik morski, opracowała P. Gr. — Ś. p. Ludomir Szczerbowicz-Wieczór. — Dodatek: Bajka o Karolku i swoku (z ryc.) — Co najdroższe, wiersz przez F. M. — Pogadanki naukowe przez A. Z. — Ciotka Iza. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Stłuczone garnki, komedyjka w 4-ach aktach przez J. Osękę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 25 Октября 1899 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Bajka o Karolku i Smoku.

(Dalszy ciąg)

Wziął więc księgę, zaniósł ją do ogrodu i otworzył na następnej karcie, ale karta się wzdeła pod jakąś bestyą i Karolek mógł wyczytać tylko ostatnie zgłoski: *cora*.

Nauczony już ostrożności, przysiadł na księdze, żeby się mogła zamknąć i wreszcie z wielkim wysiłkiem spiął klamrę i posłał natychmiast po kanclerza.

Kanclerz poprzedniej soboty był chory i leżał w domu, dla tego nie został zjedzony wraz z innymi radcami.

— Jakie zwierzę kończy się na *cora*? — spytał go Karolek.

Kanclerz odpowiedział:

— Przedpotopowe zwierzę: Manticora.

— Co to za stworzenie? — spytał król.

— To podobno wróg zawzięty smoków — odparł kanclerz — wygląda jak ogromny lew. Szkoda, że nie mamy tutaj Manticory. Onaby się załatwiła ze smokiem. Ale ostatnia zginęła przed kilkuset laty. Takie to już nasze szczęście!

Wtedy król otworzył księgę na karcie z *cora* i ujrzał na obrazku Manticorę.

Po chwili Manticora obudziła się, przetarła oczy i miauknęła żałośnie. Karolek trącił ją i powiedział:

— Idź i walcz ze smokiem!

Podwinęła ogon między nogi i uciekła. Schowała się za ratusz, a wieczorem, gdy wszyscy ludzie poszli spać, wyszła i wyjadła wszystkie koty w całym mieście. A potem zaczęła miauczeć przeraźliwie.

W sobotę rano ulice były puste, nikt nie śmiał wyjść z domu w obawie przed smokiem, tylko Manticora spacerowała sobie spokojnie, wypijała mleko postawione przed drzwiami domów w blaszankach, zjadła nawet blaszanki.

Właśnie gdy ostatnią połknęła, z poza węgła wyszedł smok i rozglądał się, upatrując Manticory.

Manticora schowała się trwożnie, bo nie była z tego gatunku, co to zjada smoki; nie widząc przed sobą innych drzwi, szukała schronienia w gmachu pocztowym. Tu ją znalazł Smok, wpadł na nią z wielkim impetem. Po całym mieście rozeszło się jęgliwe miauczenie, potem zaległa cisza grobowa. Smok wyszedł z poczty, ziejąc płomieniem, a dokoła pyska miał strzępy szerści Manticory i kawałki różnych listów i gazet. Najgorzej, że połknął cały nakład „Wieczorów” i dzieci z prowincji nie miały co czytać tego tygodnia.

Położenie było okropne. Smok grasował przez cały dzień, z wyjątkiem godzin południowych, w których spoczywał pod drzewem.

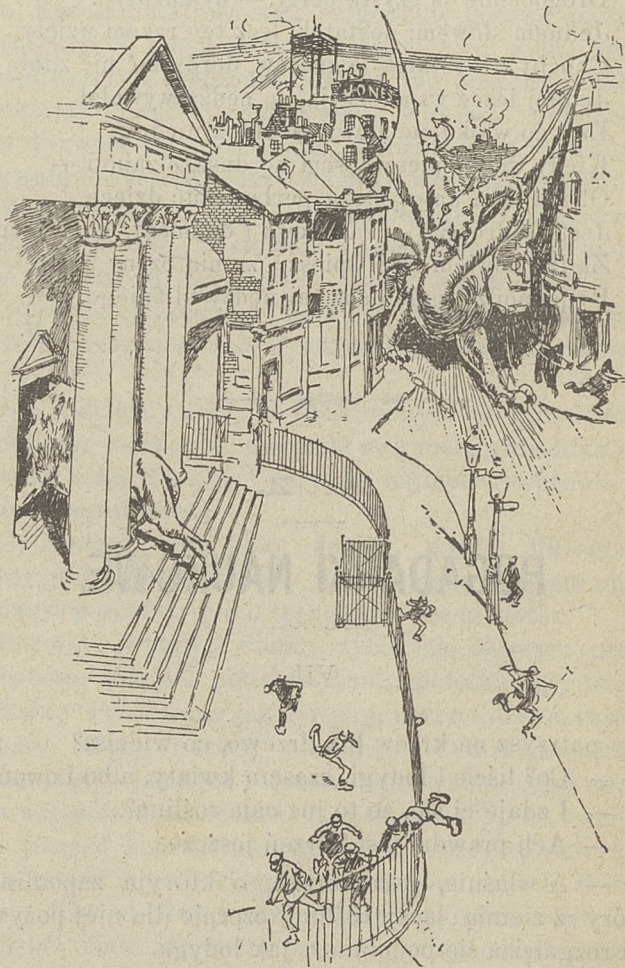
Wreszcie pewnej soboty tak się rozzuchwalił, że wsunął paszczę do dziecinnej pokoju Karolka i pożarł jego ulubionego konika na biegunach. Karolek płakał przez

sześć dni, a siódmego był tak zmęczony, że musiał przestać. Wtedy dopiero usłyszał zawroźnienie rajskiego ptaszka w krzaku róży i zobaczył motyla, fruującego od lilii do lilii i rzekł:

— Nianiu, obmyj mi buzię, nie będę już płakał.

Niania umyła go ładnie i upomniała, żeby był grzecznym.

— Płaczem nic się nie wskóra — dodała.



Manticora ucieka przed Smokiem.

— Masz rację — rzekł Karolek. — Przekonałem się o tem, ale pierwej nie mogłem się powstrzymać. Wiem już co zrobić. Nianiu, pocałuj mnie na pożegnanie, bo może nigdy nie wrócę. Muszę starać się oswobodzić wszystkich od tego smoka.

— Ha! jak musisz, to trudno! — rzekła niania — ale pamiętaj nie splam sukienki i nie zamaczaj nóżek.

Karolek zatem wyruszył.

Rajski ptak zaśpiewał jeszcze piękniej, motyl zabłysł żywszemi jeszcze barwy, w chwili gdy Karolek wszedł do ogrodu z księgą pod pachą i otworzył ją przedziutko, księga rozwarła się szeroko, prawie w połowie na obrazku

podpisany: Hypogryf i zanim Karolek mógł zmiarkować, co się dzieje, zatrzepotały olbrzymie skrzydła, zadudniły podkowy, rozległo się rżenie i z książki wyskoczył piękny biały koń z dużą, dużą grzywą, parą skrzydeł, i z bardzo łagodnymi oczyma. Stał wśród krzaków róż, nóżką grzebał i ocierał się o ramię młodego króla, a mały król myślał:

(d. n.)

Co najdroższe?

Co ma wartość, — to człowiek lubi, chowa, ceni, —
 Każdy pragnie mieć srebro i złoto w kieszeni;
 Drogocenne są czyste perły — dyamenty...
 Jednym słowem: dostatek; lecz ten razem wzięty
 Choćby wszystkich bogaczy, dorównać nie zdoła
 Jednej łezce współczucia, co nędza wywoła!
 Łza, co w oku się zjawi na widok niedoli,
 Kiedy wobec nieszczęścia serduszko zaboli —
 O! Łza taka najczystsza perła uczuć dzieci,
 Jest najdroższą — zańmiewa i dyament, co świeci!
 Za łzę bowiem myśl spieszy, za nią czyni biega,
 By pomódz i zapobiedz tej nędzy bliźniego.

F. M.

A. Z.

POGADANKI NAUKOWE.

VII.

Gdy patrzysz na krzew lub drzewo, co widzisz?
 — Co? liście i łodygi, czasem kwiaty, albo i owoce.
 — I zdaje ci się, że to już cała roślina?...
 — Ach prawda! jest korzeń jeszcze.
 — A właśnie, jest korzeń, o którym zapominasz,
 a który z ziemią łączy roślinę, czerpie dla niej pożywienie i rozgałęzia się podobnie, jak łodyga.

Gdy ziarnko albo gałązka, włożona w ziemię, zaczyna kiełkować, to najpierw wydłuża się jeden długi pręcik — cienki często jak nitka — ale który z czasem grubieje. Korzonek ten, jako najstarszy, nazywa się macierzystym, albo serdecznym — od niego rozchodzą się drobniejsze, czyli tak zwane „włókna korzonkowe.”

Korzenie wielkiego drzewa zajmują niezmiernie wiele miejsca, bo im są głębiej i szerzej rozrosłe, tem pień ich stoi mocniej i cała roślina dłuższe lata żyć może. To też doły, po wykopanych z ziemi drzewach, po kilka łokci miewają obwodu.

— A co to jest obwód?

— Obwód jest to linia idąca dokoła jakiegokolwiek przedmiotu. Jeżeli zaś przez środek okrągłego przedmiotu przeprowadzisz linię prostą, tak, aby go podzielić na

dwie równe części, czyli połowy — to linijka taka nazywa się średnicą.

Wykopanie drzew z lasu zowią karczowaniem, a wykopane korzenie z kawałkami pnia, które po ścięciu drzewa pozostały — karczami.

Choć jednak główny węzeł korzeni wykopany jest z ziemi, coraz to cieńsze korzonki, rozchodzące się coraz szerzej, pozostają w niej przerwane, bo trzebawy za nimi chyba cały las poruszyć.

Korzenie w lesie, rozchodząc się dookoła, płaczą się jedne z drugimi i tworzą pod powierzchnią grubą, gęstą sieć. Ta sieć nieznacznie podnosi grunt, niewiele wprawdzie, ale zawsze o tyle, że ziemia w lesie dudni, skoro po niej biegnie kto prędko.

Siła korzeni, choć niewidzialna, jest jednak bezustanna. Sama widuję topolę odartą z kory, aby nadal nie rosła, bo stojąc za blisko wiejskiej chaty, korzeniami swymi podnosi ją od ziemi. Jak się zresztą korzenie rozgałęziają, to przekonać się łatwo na niektórych pokojowych kwiatach. Przesadzając je, wyjmując się często z wazonika glinianego drugi wazonik z korzeni upleciony.

W roślinach mniejszych od drzew i krzewów, ale też i delikatniejszych przy wrywaniu, a choćby i wykopywaniu korzeni, zawsze jakieś włókna uszkodzić się muszą. Bo i najmniejszy badyłek lubi szeroko się rozrastać i przyciągać sobie jaknajwięcej pożywienia z ziemi. Macierzanka np. ten drobny, pachnący kwiatek o fiołkowej barwie, do pięciu łokci długie ma korzenie. Dla tego też łatwiej urwać z każdego krzewa gałązkę, niż wyrwać je z korzeniem.

Ponieważ odpowiednio do gatunku rośliny, bywają korzenie rozmaitych kształtów, więc podzielono je na: nitkowate, wrzecionowate, rzepowate, węzłowate i t. p. Wszystkie one pokryte są włoskami, przez które właśnie czerpie korzeń pożywienie. Włoski te, tak się zrastają z ziemią, że przy wrywaniu z niej rośliny zostają zawsze w gruncie.

Korzeń macierzysty rośnie zwykle wprost w głąb ziemi i w koniecznym tylko razie zmienia swe położenie; korzenie pochodne rozchodzą się skośnie. Same koniuszki korzeni nie mają włosków, ale mają na sobie w formie naparstka czapeczkę, która je od starcia się broni.

W miarę wzrostu korzenia wydłuża się coraz bardziej koniuszek, stara czapeczka łuszczy się i narasta nowa. W ten sposób, rośnie korzeń jak nitka wysnuwana z kądzieli. Korzenie rosnąc, wyciągają się zwykle w wilgotniejsze części gruntu, bo w nich o pożywienie łatwiej; napotykać kamień omijają go.

Trafia się jednak czasem, że ziarnko i między skałami kruszynkę pożywienia znalazłszy, przyjmuje się i wyrasta.

Widzimy też nieraz i na starych murach zieleniejące się badyłki; to wiatr zaniósł tam nasiona tych roślin.



Ciotka Iza.

(Dalszy ciąg).

— Masz pan do tego zupełne prawo — rzekła spokojnie — czy jednak Ninka, która przecież nie jest już dzieckiem, zgadza się na ten tak prędko wyjazd, czy może tu w Wrześniowie... — Chciała powiedzieć nie zostanie jeszcze, póki się trochę nie przyzwyczai do tej nowej opieki, nie nabierze serca do tego ojca, którego dotąd nie znała. Ale Nina gwałtownie jej przerwała:

— O tak, pojedę, pojedę — zawołała!

W wykrzykniku tym odmalowała się cała żądza zmiany, chęć poznania nareszcie tego świata, tych ludzi, tego bogactwa, do którego rwała się jej dusza!

Do Wrześniowa wróci przecież, do ciotki, którą kocha, do Marychny, Kazi, do wszystkich, którzy byli dla niej dobrzy, ale teraz ani chwili dłużej!

I nie mogąc ukryć tych silnie odczutyh wrażeń, zawołała po raz drugi:

— O tak, pojedę, pojedę!

A słowa te zadźwięczały jakoś smutnie w uszach ciotki i odbiły się o jej poczciwe serce, tak dziwnie, że uczuła jakby szarpnięcie czy uderzenie. Przycisnęła je silnie obiema rękami.

— Cicho — pomyślała sobie w duchu — cicho, tu nie o ciebie idzie.

I podeszła do Niny, położyła rękę na jej jasnej główce i wyszeptwała tak cicho, że ją zaledwie słyhać było można:

— Więc jedź dziecię w imię Boże, a jeśli błogosławieństwo moje ma coś znaczyć na tej nowej drodze życia, to ci je daję z całego serca!

Ten dziwnie uroczysty ton ciotki, zdziwił trochę Ninę, pochwyliła jej rękę i do ust przycisnęła.

— Ciociu — rzekła — dlaczego mnie tak żegnasz, jakbyś mnie już więcej zobaczyć nie miała, ja przecież przyjadę, zobaczysz, że przyjadę, bo ja cię kocham, naprawdę kocham.

Do czoła dziewczynki przyłgnęły drżące wargi ciotki, a na jasnych jej włosach zatrzymały się dwie duże łzy...

Nazajutrz gruchnęła wieść po Wrześniowie o cudownym odnalezieniu ojca Niny.

Wszystkich uszczęśliwiła ta nowina, dopytywano się kto to taki, jak się nazywa, czy bogaty, gdzie mieszka, jakim sposobem dowiedział się o tem. Smutna historia pana Dolskiego powtarzana była tysiące razy, jedni drugim ją opowiadali. Ksiądz proboszcz i doktor Zaliński nie wierzyli zrazu w prawdziwość tego opowiadania, ale gdy pan Dolski wybrał się do nich z podziękowaniem za udzieloną opiekę, usługi i starania, jakie okazywali jego zmarłej żonie i córeczce, wszelkie niedowierzania same przez się upaść musiały. W wspomnieniach więc i opowiadaniach odżył na nowo wypadek, mający miejsce przed laty, a gdy ksiądz przyniósł obrączkę i pierścioneł, które zdjęto z palca zmarłej, jako jedyny dowód, mogący zaświadczyć o tożsamości osoby, pokazało się, że litery na nich były także, o jakich mówił pan Dolski, a przedewszyst-

kiem też sama data, jaką on miał wrytą na swej obrączce. Szczęście więc i zadowolenie było ogólne, a że tam w białym domku cierpiało nad tym nagłym wyjazdem jedno biedne serce, któż to mógł odgadnąć?

Dzień wyjazdu Niny z białego domku był prawdziwą uroczystością. Wszyscy się zgromadzili, by ją pożegnać i wszyscy żalowali, że ich opuszcza. Każdy na swój sposób okazywał swą miłość i przywiązanie do niej. Ksiądz proboszcz błogosławił i kazał przyrzec, że do nich powróci, dziewczęta wiejskie życzyły szczęścia i prosiły, by choć czasem o nich pomyślała. Marychna, Kazia i inne przyjaciółki składały dziecinną przysięgę wierności przyjaźni, dzieci nawet czepiały się jej sukni i prosiły o pocałunek! Tylko, wśród tego ożywionego zgromadzenia, cicha i smutna stała ciotka Iza! Ona o nic dla siebie nie prosiła, choć z serca swego dała wszystko, co dać mogła. Karetą pocztową stała od godziny gotowa do drogi, pocztylion od czasu do czasu trąbką dawał znać o swej niecierpliwości, a otoczenie jeszcze nie puszczało białej pani, jak ją ogólnie nazywano! Wreszcie przemocą prawie wyrwała się z ich objęć. Z uśmiechem na ustach obiecywała wszystkiego dotrzymać i o wszystkim pamiętać! Z bukietem w rękę, rozpromieniona, szczęśliwa, kłaniała się w koło, ucałowała z pośpiechem rękę ciotki i lekko wskoczyła do karety. Rączy konie uniosły ją z pod tej ubogiej strzechy, pod którą znalazła opiekę, serce, w ten daleki, nieznany a tak ponętny świat bogactwa, i przepychu.

Nie widziała nawet, że przed białym domkiem stała jeszcze długo ciotka Iza, otoczona swą małą gromadką, że powiewała białą chustką i posyłała najlepsze życzenia za szybko mknącą kareta.

Opustoszał więc biały domek, umilkł fortepian, zgłuchły głośnie piosenki Niny, napełniające weselem ubogie ściany, pozostała tylko tęsknota w sercu ciotki.

Pozornie w białym domku życie szło dawnym, utartym trybem, tak jak przed laty, nim sierotka kąty te zamieszkała. Pracowano jak dawniej, uczono dzieci, robiono zapasy ciepłej odzieży na zimę. Wyniesiono tylko łóżeczko Niny, jako już niepotrzebne i zabierające miejsce, a wieczorem zachodziła ta mała zmiana, że wychodzono jeszcze naprzeciwko posłańca, noszącego zwykle torbę z listami z pobliskiego pocztowego miasta do Wrześniowa. List od Niny bywał kojącym balsamem na serdeczny ból ciotki Izy, który przecież mimo szybko mknącego czasu nie ustępował.

Nina pisała nieraz: Pamiętam o wszystkich, o kochanej mojej opiekunce, o Marychnie, Anulce i Kazi myślę także! Teraz nie mogę jeszcze przyjechać, gdyż ojcułek utrzymuje, że nauk przerywać nie można, ale na Boże Narodzenie wasza Nina zjedzie do Wrześniowa, do białego domku, niech tylko o niej wszyscy pamiętają i kochają jak dawniej!

Kochali ją też, wspominali, a ciotka wszystkim udzielała tych wesołych nowin.

— A wiecie dzieci, co to na Boże Narodzenie będzie — pytała dziatwę.

— A wiemy, będzie choinka, cukierki, pierniki i jabłka.

— I co jeszcze?

Dzieci namyślały się.

— A to Ninka przyjedzie, biała panienka, pamięta-
cie białą panienkę?

Pamiętały, oj i jak jeszcze! tak je czasami huśtała
wysoko, wysoko, wchodziła na drzewa, zrywała jabłka,
zrzucała z góry, a one wszystkie rzucały się do jednego,
zamiast inne zbierać!

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Od srebrnej Gwiazdki dla Dzieci „Wieczorów.”

Powiedz mi dziecię,
Co to na świecie
Za rzekę mamy nielada,
Co z tego słynie,
Że tylko płynie
Przez kraje, ziemie,
Gdzie nasze plemie,
Póki do morza nie wpada.

METAGRAM.

E. L.

Kiedy mam *w* na końcu, jestem straszne zwierzę,
Gdy zaś *k*, człowiek zawsze niechętnie mnie bierze.
A gdy *n*, tom rośliną, która tem się szczyci,
Że ma włókna najlepsze do wyrobu nici.

Figiel arytmetyczny.

Jak napisać liczbę 88 samymi siódmkami?

ZADANIE KONIKOWE.

Pszczółka z Pęchratki dla Zygmunia K.

		ty	u		
jak	nie	wspie	tę	no	mie
giem	Pró	ciem	gdzie	rać	cno
ma	pró	przy	cząc	wśród	tam
żna	dru	ta	sny	mie	lą
żne	cno	je	ro	tło	szczę
dno	cno	świa	ty	kto	zu

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Szarady: Bo — rów — ka.

Lamigłówki geometrycznej:

S P Z A M B D W
a ł a ł o r r i
M o n t r e a l
o c t a e s w i
a k e j a t a a

Zagadki: Mleczna droga.

Skrzynka do listów.



Waciowi z Nowogrodu zaginiony numer *Wieczorów* i żąda-
ne premium wysyłamy. Chcielibyśmy otrzymać od Wacia dłuższe
liściki, bo jesteśmy ciekawi poznać wiek i upodobania naszego
czytelnika, mieszkającego tak daleko i wiedzieć jak się uczy i czas
spędza. Broszurę *Dursta* o roślinach pokojowych może wysłać
każda księgarnia warszawska nawet za zaliczeniem pocztowem.

Trojanowi Przyb. wyrażamy tę samą chęć naszą, co i *Wacio-
wi*. Zaginiony numer wysłany.

Z. Por. W przyszłym numerze podamy zapowiedź powie-
ści i artykułów, które przygotowaliśmy na rok przyszły. Sądzimy,
że czytelnicy nasi będą z nich zadowoleni: *Dobre* rozwiązania
zagadek i szarad przysłali: **Anulka P., Por. Saul, Jamba, Stokrot-
ka, Niewdźyd i Czarodziej.**

Bardzo dziękuję **Polakowi U.** za tak wielką ilość marek po-
cztowych, przysyłanych na moje ręce. Odeślę je, gdzie należy,
a o tak skrzętnym zbieraczu pragnęłabym dowiedzieć się w na-
stępnym liście więcej szczegółów.

Bardzo się ucieszyłam, otrzymawszy list twój **Konwalijko
z nad Kubania**; wprawdzie dawniej, daleko dłużej pisywałaś do
mnie, ale mam nadzieję, że po tej krótkiej odezwie przylecą do
mnie z nad Kubania obszerniejsze twe listy. Dla prędszego po-
rozumienia się poleciliśmy jednej z księgarń tutejszych przesłać
ci wprost listownie tytuły książek żądanych ze wskazaniem ich
ceny. Gdybyś tych wiadomości dotąd nie otrzymała napisz zaraz.

Prośbę **Strzelca** o wysłanie numeru 43 złożyłam w *Re-
dakcyi* wraz z arytmogryfem.

Jrbasta znowu nazywa mnie panią *Jaskółka*, a czy ten pta-
szek bywa kiedy panią? Za obietnicę przysłania sukienek przed
świętami poza konkursem w imieniu biednych dzieci serdecznie ci
dziękuję, dotrzyмай jej tylko, bądź słowna, jak ulubione twe bo-
haterki starożytne. Bardzo się zmartwiłam wiadomością o cho-
robie *Julińci* i wierząc, że mi więcej jej żal, niż ciebie, że musia-
łaś już po raz drugi w tym roku wynieść się z domu. Donieś mi,
proszę, o zdrowiu siostrzyczki.

Witam z radością w **Strzałce** nową korespondentkę; liścik
twój bardzo mi się podobał, widać, że umiesz czuć i myśleć.
Bądź pewna, że znajdziesz się dla ciebie miejsce w sercu *Jaskółki*,
tylko pamiętaj pisać do mnie często i donoś o sobie.

Jaskółka.